

Carlo Emilio Gadda

NIEZŁY  
PASZTET  
NA VIA  
MERULANA

Przełożyła  
i opatrzyła postowiem  
Anna Wasilewska



## I

Teraz już wszyscy mówili na niego don Ciccio. Dottor Francesco Ingravallo, dowodzący brygadą lotną policji, był jednym z najmłodszych i nie wiedzieć czemu budzących zazdrość funkcjonariuszy wydziału śledczego: wszędobylski, wszechobecny w sprawach mrocznych. Średniego wzrostu, raczej okrągły czy też krępy, o włosach czarnych, gęstych i kędzierzawych, które rosły mu w połowie czoła, niemal jakby miały osłaniać przed mocnym słońcem Włoch dwa metafizyczne guzy: z wyglądu ospały, chód miał ciężki i niezdarly, nieco gapowaty sposób bycia kogoś, kto zmaga się z mozołem trawienia: nosił się tak, jak skromny państwowy wikt na to pozwalał, na kołnierzu widniała jedna lub dwie plamki oliwy, coś jakby pamiątka po wzgórzach molizyjskich. I miał też niejaką znajomość świata, naszego świata zwanego „łacińskim”, i jakkolwiek był młody (trzydziestopięcioletni), musiał zapewne mieć niejaką znajomość mężczyzn: a także kobiet. Właścicielka mieszkania wielbiła go, by nie powiedzieć ubóstwiała: z racji, a nawet pomimo, dziwnego zamętu przy każdym dzwonku i przy każdej niespodziewanej żółtej kopercie, i nocnych telefonach, i godzin bez wytchnienia, które tworzyły udręczoney

kontekst jego czasu. „Czas się dla niego nie ryczy! Nie ryczy! Wczoraj wrócił mi, jak już dzień się zrobił!” Był to dla niej „godny szacunku urzędnik państwowy”, wyśniony, poprzedzony pięcioma A w dodatku do „Messaggero”, wyłowiony z niekończącego się asortymentu urzędników przynętą: „Ładne, słoneczne wynajmę”, pomimo kategoryczności końcowego upomnienia: „Kobiety wykluczone”: co w żargonie ogłoszeń w „Messaggero” może być, jak wiadomo, rozumiane dwuznacznie. I jeszcze udało mu się nakłonić kwesturę do przymknięcia oka na tę śmieszną historię z grzywną... a tak, z karą pieniężną za brak wniosku o zgodę na wynajem... dzierą się na pół, zarząd i kwestura, a jakże! „Kobietę taką jak ja! Wdowę po commendatore Antoninim! Cały Rzym go znał, a każdy, co go znał, na rękach nosił, a nie mówię tak, bo to mąż mój był, nieboszczyk! I teraz mnie biorą za taką, co pokoje najmuje! Pokoje! Matkoż święta, już raczej do rzeki bym skoczyła!”

W swojej mądrości i molizyjskim ubóstwie komisarz Ingravallo, który na co dzień zdawał się pogrążony w sennym milczeniu, ukryty pod czarną dżunglą peruki, lśniącej niczym smoła i kędzierzawej jak astrachańskie jagnię, otóż wytrwały w swej mądrości komisarz przerywa niekiedy senne milczenie i wypowiada teoretyczną myśl (myśl ogólną, ma się rozumieć), tyjącą się mężczyzn, a także tyjącą się kobiet. Tak na pierwszy rzut oka, to znaczy, kiedy słyszano je po raz pierwszy, myśli te sprawiały wrażenie banalnych. Ale banalne nie były. Krótkie wypowiedzi, które w jego ustach brzmiały jak trzask zapalanej zapalki, dźwięcząc później w uszach słuchaczy nawet po

upływie godzin czy miesięcy, jakby dojrzewały w procesie tajemniczej inkubacji. „No tak!”, przyznawał jego rozmówca: „Przecież komisarz Ingravallo mnie uprzedzał”. Komisarz utrzymywał między innymi, że nagłe katastrofy nie są nigdy następstwem, czy, jeśli wolimy, nie są skutkiem jednej przyczyny, jakiejś pojedynczej racji: przypominają natomiast wir, krytyczny, cykloniczny punkt w świadomości świata, miejsce, w którym zbiegło się wiele przyczyn. Używał określeń takich jak węzeł czy supeł, jak zwój czy motek, co w rzymskim dialekcie znaczy tyle co kłębek. Ale najczęściej z ust wymykał mu się prawniczy termin i niemal mimowolnie mówił wtedy o „motywie” bądź o „motywach”. Był zdania, że „powinniśmy przewartościować pojęcie przyczyny”, odziedziczone po filozofach, od Arystotelesa po Immanuela Kanta i „przyczynę” zastąpić „przyczynami”, przy czym ta kluczowa opinia, z uporem, niemal obsesyjnie przez komisarza podtrzymywana, ulatywała niczym para spomiędzy jego warg, mięsistych i raczej bezbarwnych, podczas gdy z kącika ust zwisał niedopałek papierosa, zdając się harmonizować z sennym spojrzeniem i niemal szyderym grymasem, w którym kryły się zarazem gorycz i niedowierzenie, a grymas ten, zgodnie z „dawnym” przyzwyczajeniem, zastygał mu w dolnej części twarzy, pod smolistą czernią peruki, sennymi powiekami i równie mało wyrazistym czołem. Tak, właśnie tak rzecz się miała z „jego” zbrodniami. „Kiedy mnie już wzywajom! Mogę być pewny, że to niezły pasztet i że jakiemuś ważniakowi zmienknie rura”, mawiał, wplatając w język włoski zwroty w dialekcie neapolitańskim i molizyjskim.

Co prawda zasadniczy motyw zbrodni bywał z pozoru jeden. Ale cały ten kram stawał się wypadkową burzy żywiołów (na podobieństwo szesnastu wichrów z róży wiatrów schwytych w pułapkę cyklonu), wypadkową, która don Ciccia dosięgała i z trąby powietrznej występku odwirowywała dosyć wątlą „przyczynę świata”. Zupełnie tak, jak ukręcało się łeb kurze. Potem mawiał zwykle, okazując niejakie znużenie: „Babę szukaj tam, gdzie nie chcesz jej znaleźć”. Ot, późniejsza rodzima odmiana starego porzekadła „cherchez la femme”. Wyglądało nawet na to, że żałuje swojego powiedzenia, zupełnie jakby zniesławiał kobiety, i wobec tego zamierzał zmienić poglądy. A z tym byłyby niejakie kłopoty. Toteż milczał, pogrążony w myślach, obawiając się, że powiedział za dużo. Oznaczało to, że afekty, czy jak powiedzielibyście dzisiaj, czynniki uczuciowe, owa „domieszka erotyki”, miały swój udział nawet w „zbrodniach dla zysku”, chociaż wydawać by się mogło, że popełniony występki nie ma nic wspólnego z burzliwą namiętnością. Czasem jakiś odrobinę zazdrosny o jego pomysły kolega czy bardziej świadom klęsk tego stulecia kaznodzieja, paru podwładnych, woźnych, a także zwierzchników utrzymywało, że czyta on dziwne książki i wyszukuje w nich wszystkie te słowa, które nic nie znaczą, albo znaczą tyle co nic, ale jak mało co służą wykpiwaniu prostaków i ośmieszaniu ludzi niewykształconych. Poruszał kwestie godne szpitala dla wariatów, używał terminologii właściwej lekarzom obłąkanych. I czemu miało to służyć? Podobne chimery i wymysły dobre są dla autorów traktatów: praca w komisariacie i w służbach policji

kryminalnej wymaga zupełnie czego innego: tu ceni się wielką cierpliwość, bezbrzeżne miłosierdzie: no i pełny żołądek: a przy tym poczucie odpowiedzialności, stanowczości w działaniu i znajomość miary: a jakże, a jakże: a do tego żelazną rękę, i wszystko po to, żeby ta włoska buda się nie zawaliła. Natomiast on, don Ciccio, tych jakże słusznych przykazań zupełnie nie brał sobie do serca: toteż dalej zasypiał na stojąco, rozmyślał, nie zważając na pusty żołądek, i udawał, że ćmi swój nieodłączny niedopałek papierosa.

Na niedzielę 20 lutego, dzień świętego Eleuteria, państwo Balducci zaprosili go na obiad: „O pierwszej trzydzięci, jeśli pan łaskaw”. Był to, oznajmiła pani, „genethliacus\* Rema”: i w rzeczy samej Rema w księgach stanu cywilnego zapisano jako Rema Eleuteria, a potem ochrzczono w kościele San Martino ai Monti, dla upamiętnienia dnia narodzin. Dwa imiona mało strawne dla tego głomba, przemknęło mu przez myśl, tak jedno, jak drugie. Dla uszu kołtuna tego kalibru czyste wręcz marnotrawstwo. Zaproszenie, jak poprzednio, dotarło przez telefon, z dwudniowym wyprzedzeniem, do „Kolegium Rzymskiego”, czyli San Stefano del Cacco. Wpierw w słuchawce rozległ się melodyjny głos pani: „Mówi Liliana Balducci”: potem wtrącił się ten kozioł, samiec Balducci, udzielając jej wsparcia. Don Ciccio uświęcił dzień święty u golibrody i przyniósł pani domu butelkę dobrej oliwy. Niedzielny obiad radośnie upływał w blasku popołudnia, na bruku skrzyły się konfetti i trąbki,

---

\* *Genethliacus* (łac.) – urodziny (przypisy tłumaczki).

trotuarem wciąż jeszcze pomykały wdzięczne domina, błękitne Kopciuszki, aksamitno-czarne diabełki. Rozmowa toczyła się o polowaniu: o psach i nagonce: o strzelbach: o Petrolinim: o rozmaitych nazwach, jakie przybiera cefal na wybrzeżu tyrreńskim, od Ventimigli po przyładek Lilibeo: omówiono też najnowszy skandal: młodziutka hrabianka Pappalòdoli: siedemnaście wiosen, uciekła ze skrzypkami: Polakiem, ma się rozumieć! Ładne rzeczy.

Ledwie don Ciccio wszedł, obszczała go suczka Lulù, kłębek wełny rasy pekińczyk: kiedy już przestała gniewnie warczeć, długo obwąchiwała mu buty. Wprost niezrównana jest żywotność takich potworków. Ma się je ochotę pogłaskać, a zaraz potem rozdeptać. Siedzieli przy stole we czworo: on, para gospodarzy i siostrzenica. Nie ta sama co poprzednio, z dnia świętego Franciszka, lecz dużo młodsza, dziecko prawie. Tamta, od świętego Franciszka, była niby-siostrzenicą: istna wiejska panna młoda, z koroną czarnych warkoczy, mocno zbudowana, obfitych kształtów, taka, co sama całe łóżko zagarnie: no i co za oczy!, a jaki cyc!, jaki tyłek! Przyśnić się mogą! A ta tutaj dziewczyneczka z warkoczem chodziła jeszcze do szkoły u zakonnicy.

Don Ciccio, na przekór niejakiej ospałości, miał dobrą pamięć, wprost niezawodną: pamięć pragmatyczną, jak mawiał. Służąca także była nową twarzą, choć kapinkę przypominała poprzednią siostrzenicę. Wołano ją Tina. Kiedy podawała do stołu, z owalnego półmiska strzyknął jej kleks szpinaku, plamiąc nieskalaną biel obrusa. „Assunta!”, nie wytrzymała pani. Assuntina rzuciła jej spojrzenie. W tej właśnie

chwili obie, służąca i pani, przykuły uwagę don Ciccina swoją niezwykłą urodą: służąca, bardziej szorstka, ale też pewna siebie, przybrała surowy wyraz twarzy: dwoje oczu o hardym spojrzeniu, dwa brylanty, nos prosty w linii czoła: rzymska dziewczyna z epoki Clelii. Jej pani, jakże serdeczna w sposobie bycia, ton głosu jakże wysoki, jakże szlachetnie namiętny, jakże tęskny!, płeć zachwycająca. Patrząc na gościa, te jej oczy o głębokim wejrzeniu, lśniące światłem niegdyśszej łaskawości, zdawały się dostrzegać, w skromnej osobie „dottore” całą ubogą godność cudzego życia! No i pani była bogata: arcybogata, mówiono: mąż miał się dobrze, bywał w podróży przez trzynaście miesięcy w roku, w interesach z tymi z Vicenzy. Ale ona była jeszcze bogatsza. Pewno że w tej kamienicy pod dwieście dziewiętnastym same majątne państwo mieszkało: byri i herbowi, ale głównie nowi, handrem się parający, co to jeszcze niedawno wołano ich rekinami.

Samą kamienicę lud zwał kamienicą pod dukatami. Bo carutka, aż pod sam dach, nadziana była żłotym kruszczem. W środku dwie kratki schodowe, A i B, po sześć pięter każda i dwunastu rokatorów, po dwa na piętro. Ale to kratkę A, na trzecim piętrze, spotkał największy zaszczyt, bo tu mieszkari państwo Balducci, państwo pełną gębą, a na wprost Balduccich rezydowała hrabina, tyż na worku pieniędzy, wdowa, pani Menecacci, co to jak renkę gdzie bądź włożyć, to złoto wypadało, perły, brylanty, same kosztowności. A tysionczki wylatywały niby motyle. Bo to trzymać je w banku rzecz niepewna, ogień może strawić, jak nic. Lepsza jusz komoda z podwójnym dnem.



Tak przynajmniej głosił mit. Uszy dottor Ingravalla, wrażliwe pod czernią kędzierzawej peruki na wiosenne rozwibrowanie, złowiły go w mig, jak świst kosa schwymany w locie, gdy turdus merula skacze z gałęzi na gałąź. Był zresztą na ustach wszystkich, i utknął we wszystkich głowach, jako jeden z tych komunałów, co to na mocy fantazji ogółu zaczynają obowiązywać.

Przy obiedzie Balducci okazywał Ginie ojcowskie względy: „Ginetto, kapkę wina...”, „Gino, napełnij kieliszek dottore”, „Gino, podaj, proszę, popielniczkę...”: zupełnie jak dobry tatuś, a ona odpowiadała niezmiennie: „Tak, wujku”. Pani Liliana patrzyła niemal z czułością: jak na pąk, co zmrożony jeszcze o świcie, rozkwita na jej oczach o cudzie poranka. Porankiem był zaś męski baryton Balducciego, głos „ojca”: ona zaś, małżonka i oblubienica taty, stawała się mamą. Z wielką troską i niejaką obawą śledziła rączkę wychowawicy, jeszcze niepewną, podczas nalewania: glu glu, to płynie złoto Frascati, sądząc po odgłosach: kryształowa karafka miała swój ciężar: zdawać by się mogło, że tak drobna rączka jej nie utrzyma. Dottor Ingravallo jadł i pił z umiarem, jak zwykle, ale z apetytem, i chętnie gasił pragnienie.

O nic nie pytał, ani też nie sądził za rzecz stosowną pytać o cokolwiek: ani o nową siostrzenicę, ani o nową służącą. Starał się zdusić podziw, jaki budziła w nim Assunta: podziw pokrewny fascynacji cudną poprzednią siostrzenicą: a ten urok, ten majestat latyński i sabiński, starożytne imiona wojowniczych dziewic i niezbyt opornych żon, wziętych swego czasu siłą w czasie luperkaliów, sprzymierzał się z obrazem

wzgórz i winnic, i wiejskich domów, z obrazem festynów i papieża w karecie, i ogarków w kościele Sant' Agnese in Agone i Santa Maria in Porta Paradisi na dzień Candelory\*, kiedy święci się woskowe świece: wnosi powiew odległych i pogodnych dni z okolic Frascati i Tivoli, jakim natchnął dziewczęta Pinelli pośród ruin Piranesiego (tych z kościelnych almanachów i kalendarzy), i odzianych w szkarłaty Książąt Kościoła. Niczym okazałe langusty. Książęta Świętego Rzymskiego Kościoła Apostołów. A w samym centrum: oczy Assunty: harde: zupełnie jakby raczyła podawać państwu do stołu. W centrum... całego systemu... ptolemejskiego: no tak, ptolemejskiego. W centrum, z całym szacunkiem, i ciut ciut po jaśniepańsku.

Trzeba zdusić, zdusić. Wsparty w tej trudnej powinności szlachetną melancholią pani Liliany: której spojrzenie w tajemniczy sposób zdawało się utrać każdy niestosowny fantazmat, wprawiając umysł w stan harmonijnej dyscypliny: muzyki nieomal: czyli kontekstu wyobrażonej architektury dwuznacznych uchyleń zmysłów.

Ingravallo był dla małej Giny, a jakże, niezmiernie grzeczny, niby jakiś szarmancki wuj: z jej cienkiej szyjki, spod warkocza, dobywał się głosik utkany z „tak” i „nie”, rozbrzmiewający niczym skąpe nuty jęikliwego klarnetu. Nie zwracał uwagi na Assuntę, od chwili gdy podała makaron – jak przystało na dobrze wychowanego gościa. Od czasu do czasu pani Liliana wdychała. Ingravallo odnotował nawet, że ze dwa lub

---

\* Candelora (wł.) – święto Matki Boskiej Gromnicznej, przypadające na dzień 2 lutego.

trzy razy wyrwało jej się ciche „ach!”. Kto mówi ach, tonie we łzach. Jakiś osobliwy smutek zasnuwał jej twarz, kiedy milkła albo nie patrzyła na gości. Czyżby dręczyła ją myśl jakaś, jakieś zmartwienie?, myśl ukryta za kurtyną uśmiechów lub uprzejmych gestów?, czy też za barierą słów nie tyle spontanicznych lub wyważonych, ile zawsze uprzejmych, jakimi chętnie częstowała gości? I te westchnienia, te recytacje, te spojrzenia, błędzące gdzieś smętnie, które zdawały się sięgać czasu i przestrzeni nierzeczywistych, można by rzec, tylko jej wiadomych, zaczęły pomалу przykuwać uwagę dottor Ingravalla: uznał je za oznaki może nie tyle wrodzonych skłonności, ile obecnego stanu ducha, narastającego przygnębienia. No i padały jeszcze jakieś półsłówka z ust Balducciego: mężulka z ikrą, co to rozprawia tylko o interesach i o zajęciach, i który jazgotał teraz w najlepsze pod sutym wpływem gron albana.

Chyba pojmował: nie mają dzieci. „I tak dalej, i tak dalej”, dorzucił kiedyś w rozmowie z dottor Fumi, jakby nawiązywał do świetnie rozpoznanego doświadczenia, do fenomenologii bezspornej, do zasobu komunałów. Balducci był dla niego przede wszystkim myśliwym, i to takim, któremu szczęście sprzyja. Myśliwym *in utroque*\*. W głębi serca miał mu za złe niejakie prostactwo, niejaką fanfaronadę, obejście nazbyt hałaśliwe, choć dobroduszne, wybuchy śmiechu, egoizm czy egotyzm ździebko indychezki: i to przy takiej istocie! Można by rzec, puszczając wodze fantazji, że on, Balducci, nie doceniał, nie potrafił zgłębić jej piękna: nie dostrzegał tego, co w niej

---

\* *In utroque* (łac.) – tu: w dwójnasób.